Nr. 9. Lwów dnia 1. Maja 1890. Rok I.



„Gwiazda katolicka“ wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca w objętości 2—2½ arkuszy druku i kosztuje w *Austryi*: całorocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 ct.— W *Niemczech*: rocznie 12 marek, półrocznie 6 m., kwartalnie 3 m. — W *Francyi*, *Włoszech*, *Rumunii* i *Turcyi*: rocznie 16 fr., półrocznie 8 fr., kwartalnie 4 fr. — W *Ameryce* 4 dolary rocznie.

Przedpłatę nadsyłać należy wprost do Redakcyi (*Lwów*, ul. Ossolińskich, l. 11).

Ogłoszenia umieszcza się za opłatą 6 ct. od jednego wiersza. Przyjmuje takowe: administracya „Gwiazdy katolickiej“ i biuro anonsów p. Hub. Friedla w Wiedniu (V. Matzleindorferstrasse Nr. 7).

Reklamacye uwzględniają się tylko w przeciągu dni 14 po wyjściu nru.

Odpowiedzi następują tylko na listy, w których załączone są marki pocztowe.

Rękopisów nie zwraca się. — *Numer pojedynczy* kosztuje 25 ct.

WŁAŚCICIEL, WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. MARCELI DZIURZYŃSKI.

ROZPRAWA 2.

Czy mógł świat inaczej powstać, jak przez stworzenie z niczego?

IX.

1. Że świat, jak obecnie istnieje, nie zawsze istniał, dowodzi niezbicie prócz Objawienia Bożego i zdrowego rozumu (VI. 3), także i to już nawet namacalnie, geologia, czyli badania wewnętrznych pokładów ziemi. Najgłębsze bowiem i najstarsze pokłady nie zawierają w sobie żadnych szczątków roślinności, ani zwierząt, ani ludzi; widoczna, że pochodzą z czasu, kiedy tych jeszcze na ziemi nie było. Wpóźniejszych pokładach znajdujemy skamieniałości roślin, które widocznie w tym czasie istnieć poczęły, bez żadnego jednak śladu zwierząt, jak i ludzi. Następne pokłady zawierają już skamieniałości roślin i zwierząt, a jeszcze późniejsze dopiero także i ludzi.

Dla tego nawet taki materyalista jak Virchow przyznaje, że „życie musiało się rozpocząć, gdyż geologia wprowadza nas w epoki tworzenia się ziemi, w których życie było niemożliwe, gdzie żaden ślad, żaden szczątek tegoż się nie znajduje [1])“.

Wszelkie więc istnienie świata bez początku jest stanowczo wykluczone, równie jak wszelki szereg nieskończony w pochodzeniu jednych istot od drugich, i kołowanie materyi w roślinności, zwierzętach i ludziach. „Świat nie może tak od wieczności istnieć — pisze Fük [2]) — tylko musiał w czasie od dziś wcale nie nieskończenie odległym przez przyczynę pozaświatową t. j. przez stworzenie powstać“. A nawet Virchov [3]) przeciw hipotezie Crolba o wiecznem kołowaniu materyi wyznaje: „Potrzeba wielki gwałt zadać faktom, dla wymarzonego wniosku, jeżeli się chce zbankrutowaną naukę o wiecznem kołowaniu materyi utrzymywać. Prowadzi ta teorya rzeczywiście do takich rezultatów, to chętnie jej powiemy: bądź zdrowa!“

2. Kiedy więc świat początek mieć musiał, chodzi teraz o to, czy mógł w inny jaki sposób powstać, a nie przez stworzenie z niczego. Dwie zdołali wymyśleć teorye przeciwnicy stworzenia. Jednę podają starożytni filozofowie, nie mogący się wznieść do poznania naszej prawdy, dalej materyaliści, pozytywiści, moniści, senzyści i tym podobni: że materya świata jest wieczna, sama z siebie, czy to jako atomy, lub chaos istniejąca, z siebie mająca ruch, czy to mechaniczny, czy chemiczny, wirowy lub prosty, albo przynajmiej przypadkowe wstrząśnienie, wskutek którego ten wszechświat powstał.

Druga teorya jest panteistów, według których wszystko, co istnieje, jest rozwojem istoty Bożej, tak iż Bóg jest wszystkiem i wszystko jest Bogiem. Bóg się podzielił na te wszystkie rzeczy, jak promień słoneczny rozkłada się na siedm kolorów, które znów złączone tworzą tenże promień.

Nad obiema temi teoryami musimy się tu zastanowić, chcąc gruntownie stworzenie świata wykazać, przynajmniej co do najgłówniejszych ich zasad, bo szczegółowe rozprawienie się z niemi przechodzi zakres niniejszej pracy. Obszernie zresztą rozwiązane zostały dość licznymi i gruntownymi artykułami w czasopismach i książkach, osobnemi broszurami i poważnemi nawet dziełami,

[1]) Vier Reden über Leben u. Krankheit.

[2]) Les phénoménes de la vie par Gavarret p. 59.

[3]) Tamże tsr. 24.

tak w języku polskim, jak zwłaszcza niemieckim i innych.

3. Przystępując więc do pierwszego z tych przypuszczeń, posłuchajmy naprzód jak ewangelia materyalistów, dzieło Büchnera p. t. „Siła i materya“ takowe wykłada: „Świat — czytamy tam str. 3 — nie mógł powstać z niczego. Materya ze swemi własnościami, które siłami zowiemy musiały być od wieków i wieczne być muszą (15). Materya jest wszystko rodzącą i wszystko znów nazad w siebie przyjmująca, matką wszechbytu (22). Wszystkie czynności, nawet myślenie i chcenie są tylko ruchem materyi (2). Materya jest nieskończona w czasie, tj. zawsze istniejąca, i nieskończona w miejscu tj. co do rozciągłości (16). Materya jest filarem wszelkiej ludzkiej i ziemskiej wielkości. Ztąd kto trapi swe ciało, wyrządza mu szkodę (20). Nieubłagana konieczność z natury materyi pochodząca, włada każdą istotą, bez żadnego wyjątku i ograniczenia, żadna siła nie jest w stanie odwrócić tej konieczności (24). I człowiek bezwarunkowo podlega niewzruszonej i nieubłaganej konieczności, która włada całą istotą (25) tak, iż żadnej wolności, ani opatrzności, ani Boga, ani duszy, ani nieba, ani piekła, ani kary, ani nagrody być nie może“.

Ta jest teorya materyalistów. Kto przeczyta jednak spokojnie jeden lub drugi rozdział tego dzieła, kto zastanowi się nieco nad przeprowadzeniem jego wywodów, pozna z łatwością, że Büchner sam temu nie wierzył, co pisał; że powodował się tylko nienawiścią względem Boga i religii, którą wylewa ze siebie w każdym prawie artykule, i liczył jedynie na bardzo niewykształconych i nierozsądnych czytelników, którzy mu ślepo uwierzą, a na pozornych jego dowodach się nie poznają.

4. Lecz przypatrzmy się bliżej zasadom materyalistów. Pierwszą podstawą ich jest: że materya świata nie mogła być stworzoną, ale sama z siebie zawsze istniała. — Jak fałszywem jest to twierdzenie, okazaliśmy już dość obszernie w rozprawach poprzednich. (IV. 2 — 6, VI. 3).

Wszak czy może być co oczywistego nad to, że jeżeli daleko doskonalsze istoty jak rośliny, zwierzęta, ludzie nie istnieją sami z siebie, tem bardziej mterya najniedoskonalsza ze wszystkich rzeczy i najpodlejsza, nie mogła od wieczności sama z siebie egzystować, tylko od Stwórcy byt swój otrzymać musiała? Jakaż może być większa niedorzeczność, nad zaprzeczenie istnienia z siebie istotom doskonalszym, a przyznanie go materyi najniedoskonalszej.

Cóż z tego, że Büchner pochwałami wynosi i ubóstwia materyę, kiedy zdrowy rozsądek wszystkich ludzi w tem mu się sprzeciwia. Gdyby materya sama z siebie istniała, musiałaby być istotą nieskończenie doskonałą (VI. 3). Tymczasem z natury materyi wypływa, że jest istotą najniedoskonalszą, za jaką ją wszyscy ludzie zdrowym rozsądkiem powodowani uznają, więc to się jej naturze sprzeciwia, żeby ona sama z siebie istniała. Jej natura wymaga, żeby od kogo innego byt swój otrzymała, kim dla materyi pierwotnej nie może być nikt już inny prócz Stwórcy.

Czemże zresztą dowodzą materyaliści istnienia materyi samej z siebie? Oto tem, że żaden kawałek materyi w nicość się nie obraca, więc żaden stworzony być nie mógł! Oto rozumowanie! Wszak filozofia od dawna uczyła, że jak do stworzenia jakiej rzeczy potrzeba nieskończonej mocy Bożej, tak samo i w nicość obrócić tylko wszechmoc może. Czy może Bogu nie wolno zachowywać w istnieniu każdej części materyi, na to, żeby się tem Büchner i jego zwolennicy nie gorszyli i najfałszywszych stąd wniosków nie wyprowadzali?!

Słusznie więc pisze nawet materyalista Bern. Cotta, że „zagadką niemożliwą do rozwiązania, przy której musimy apelować do niezbadanej mocy Stwórcy, jest zarówno pierwsze powstanie masy ziemi, jako i powstanie istot organicznych“.

5. Drugą zasadą materyalistów jest: materya nieskończona co do rozciągłości, sama z siebie mająca kształt, ruch mechaniczny, powinowactwo chemiczne i inne swoje własności. Że i to twierdzenie sprzeciwia się zdrowemu rozumowi wykazaliśmy już poprzednio (IV. 3 — 5). A najpierw co do nieskończoności materyi, absolutnie niemożliwą jest rzeczą, aby to co ma rozciągłość, przeto ze skończonych części jest złożone, było prawdziwie nieskończone, t. j. żadnego końca, żadnych absolutnie granic nie miało. Zbierzmy np. miliony metrów i złóżmy je razem, z ostatnim z nich do innych dołanym, mamy koniec i granicę. Dodajmy znowu miliony metrów do poprzednich, z ostatnim metrem otrzymamy tożsamo.

Tylko istota duchowa i pod żadnym względem niezłożona, żadnej rozciągłości nie mająca, może być prawdziwie co do swej doskonałości nieskończoną; ale wszystko z części skończonych złożone, skończone być musi, i choćby jego granice najdalej położone były, nieskończone żadną miarą być nie może, bo to się sprzeciwia naturze rozciągłości ze skończonych części złożonej. Niedorzecznością więc jest, jak dawno już udowodniła filozofia, przypisywać nietylko materyi nieskończoność, ale nawet kłaść czas, przestrzeń lub liczbę nieskończoną, które ponieważ tak samo z części skończonych się składają, absolutnie skończone być muszą, tak iż po za niemi nic nie istnieje.

Dla tego mądrze pisze Fr. Hoffmann, że „materyalizm rozbija się za pojęciami żadnego realnego znaczenia niemającemi. Nic mu nie jest pewniejsze nad czas bez początku i końca, nieskończona przestrzeń, nieskończona absolutnie liczba atomów, jakby wszystkie te złe nieskończoności, mówiąc z Beylem, same w sobie sprzecznemi, przeto nie możliwemi nie były [4])“. Podobnież Balmes, Gonzalez, Zigliara, Liberatore i inni.

6. Fałszywą również jest ta zasada, jakoby materya sama ze siebie miała oznaczoną rozciągłość,

[4]) Zur Widerlegung der Atomistik s. 22.

kształt ruch, liczbę części i inne przymioty swoje. Bo dlaczegoż z żelaza lub innego metalu mogę zrobić kulę, sztabę, płytę, miecz, siekierę, piłę, naczynie? Albo dlaczego zgliny da się wykonać talerz, misa, dzban, flakon, posąg i t. p.? Ponieważ materya z natury swej jest na wszelki kształt obojętną. Dlaczego kamień, lub bryłę ziemi mogę dowolnie na więcej lub mniej części podzielić, a te znowu dowolnie złączyć? Bo tak samo na podział i liczbę swych części materya z natury swej jest najzupełniej obojętną. Dlaczego każde ciało ciśnieniem powietrza zatrzymane w miejscu spoczywa, pchnięte zaś szybciej lub wolniej, dłużej lub króciej się porusza? Bo znowu na to wszystko materya z natury swej jest obojętna. Cóż ztąd wynika? Oto że jak materya z natury swej jest obojętna na rozciągłość, kształt, liczbę części, ruch lub spoczynek, tak z natury swej tego wszystkiego mieć nie może, tylko pierwotnie od Boga Stwórcy wszystko otrzymać musiała. Jak bowiem z jednej strony nie ma z siebie tych wszystkich przymiotów, tak z drugiej bez określonej rozciągłości, kształtu, liczby cząstek ruchu lub spoczynku od samego początku żadną miarą istnieć nie mogła. Tak więc dla swojego bytu, jak i nadania tych własności materya koniecznie Boga Stwórcy wymaga.

Dla tego powiada de Maistre: twierdzić, że „materya przyczyną jest swych własności, jest to absolutny nonsens. Materya nic nie może i niczem innem nie jest, jak dowodem Ducha Stwórcy[5])". I sam nawet Virchow[6]) czuje się zmuszonym wyznać, że: „jak kula armatnia nie może siłami, jakie w sobie zawiera, sama się poruszać, ani siła z jaką w inne ciała uderza nie mogą być rezultatem przymiotów jej istoty, tak samo ciała niebieskie nie mogły same sobie ruchu nadać, ani siła ich obrotów ze samego ich kształtu i składu wyprowadzić się nie da; tembardziej, że zjawiska życia całkowicie z przymiotów pojedyńczych części składających istotę wytłumaczyć nie można". Materya zresztą wieczna — pisze sam Büchner — musiałaby mieć i ruch wieczny. Dla czegoż więc nie od wieczności, ale o oznaczonym dopiero czasie ten ruch przyjęła, wskutek którego wszechświat powstał? To jest nam nie do wytłumaczenia" bez Boga Stwórcy.

Ale przynajmiej ciężkosć materya sama z siebie mieć musi — odpowiadają materyaliści — a tem prawem już i powstanie ruchu w chaosie, i zbudowanie całego wszechświata da się wyjaśnic. — Na szczęście jednak nasze fizyka, wyprowadza ciężkość nie znatury materyi, lecz z prawa przyciągania i odpychania czyli powszechnej w wszechświecie attrakcyi. Z materyi więc samej wcale ona nie powstaje. Zresztą powiada Newton a z nim Bentley, Kaestner, Enler, Arago, Biot i inni, że „z prawa ciężkości rozkład wszechświata żadną miarą wyprowadzić się nie da[7]). Może za to da się wszystko wytłumaczyć przez prawo attrakcyi, to jest wzajemnego przyciągania i odpychania się ciał, a to może już nie pochodzi od Stwórcy? — Owszem, przeciwnie! odpowiadamy. Pierwej bowiem Bóg musi materyę stworzyć potem nadać jej ruch, dalej harmonijny rozkład wszechświata ułożyć, i w proporcyonalny obieg ciała wprawić, dopiero wtenczas prawo attrakcyi mogłoby powstać jeżeli jakie we wszechświecie panuje, a tym sposobem i to od Boga Stwórcy pochodzić musi.

7. Największą więc nadzieją materyalistów jest jeszcze chemia, jakoby powinowactwo pierwiastków niezaprzeczenie już z natury materyi powstawało, a przez nie już wszystko inne dało się wytłumaczyć. Nie potrzeba być jednak wielkim chemikiem, aby choć cokolwiek nad tym przymiotem się zastanowiwszy, przekonać się z łatwością, że rzecz się ma przeciwnie. Wszak wszystkie pierwiastki u materyalistów zarówno są materyalne, t. j. nic w sobie nie zawierają prócz samej tylko materyi, z której wszystko inne pochodzi, bo skądżeby pierwiastki coś więcej posiadać mogły prócz materyi, bez Stwórcy? Dla czegoż więc wszystkie tego samego powinowactwa chem. i tych samych przymiotów nie mają? Dlaczego n. p. srebro ma powinowactwo z tlenem, a nie ma go ze złotem, żelazem i miedzią? Wszak skoro są zarówno materyalne tylko, we wszystkich z takiejże materyi takież przymioty i takież powinowactwo powstawać powinno. Przecież materya musi być materyą, czyli taką samą istotowo (esencyalnie), czemuż tych samych skutków nie wydaje? Dlaczego złoto, srebro, żelazo istotowo (esencyalnie) się od siebie różnią?

U nas katolików dla tego, ponieważ jednemu kawałkowi materyi nadał Bóg Stwórca inne własności, inne przymioty, inne powinowactwo, słowem inne formy substancyalne, z których to wszystko pochodzi. Ale jeżeli się Stwórcy nie przypuści, jakżeż to wytłumaczyć?

To należy, tak broni się Büchner, od większego lub mniejszego zgęszczenia materyi. — Że to jednak oczywistym jest fałszem, pokazuje się stąd, że kawałek srebra możemy sproszkować, możemy i stopić. Zgęszczenie w tych trzech wypadkach będzie rozmaite, a powinowactwo zawsze pozostanie to samo, ani nie ustanie z tlenem, ani się nie obudzi do złota lub żelaza. Tak samo pierwiastki lotne potrafimy skroplić, a nawet w ciała stałe zamienić, a zawsze z temże powinowactwem. Oczywista więc, że ze zgęszczenia materyi działanie to nie powstaje.

Wyprowadzają je więc jeszcze z różnorodnego układu cząstek, atomów lub drobin. Ależ czyż tu zdrowy rozsądek nie pokazuje, że mając jakąś ilość atomów czy drobin złota, żebym jak kto chce je mieszał i układał, nigdy z nich nie powstanie żelazo? Wszak w przeciwnym wypadku ciała nie istotowo, czyli nieswą naturą, lecz akcydentalnie by się tylko od siebie różniły, co est przeciw zdrowemu rozsądkowi wszystkich jludzi. I powino-

[5]) St. Pet. Abend. I. 285.

[6]) Gesammelte Abhandlungen 2 Aufl. 1856.

[7]) Philosoph. nat. princ. 50. 3.

*

wactwo więc chemiczne koniecznie Boga Stwórcy wymaga.

„Tak pokazuje się — pisze Cuvier[8]) — jak po dziecinnemu owi filozofowie mówią, którzy naturze pewien rodzaj osobowej egzystencyi przypisują, rozłączywszy ją od Stwórcy, od prawa, którem ją napiętnował, od przymiotów i form, które Bóg ciałom nadał, a od których ich działanie zależy. W miarę jak nauka postępuje, odrzuca od siebie tak fałszywe zasady, jakiemi się okazują koniecznie przy jej rozwoju". „Ktokolwiek nieco gruntowniej nad tem się zastanowił — wyznaje du Bois-Raymond[9]) — widzi, że materyalizm ma trudności nie do pokonania. Jakkolwiek chcą kwestyę Stwórcy obejść, w ten lub inny sposób muszą przyjść na nią. Z którejkolwiek strony i pod jakimkolwiekbądź płaszczem do niej się zbliżymy, widzimy że jest nie do zwyciężenia. Cały rozwój nauk przyrodniczych nic przeciw Stwórcy nie wykazał, a i następny owocu nam nie przyniesie. Nigdy lepiej jak dziś nie będziemy rozumieli, co Paweł Erman zwykł był mówić: Tu gdzie jest materya pierwotna, straszy w przestrzeni" materyalistę.

8. Trzecią zaradą materyalizmu jest, że z materyi nieorganicznej rozwinęło się życie od najlichszej roślinności ażdo człowieka. — Lecz jeżeli materya nieorganiczna nie ma sama z siebie ani istnienia, ani kształtu, ani ruchu, ani swoich własności, jakoż daleko bardziej nie będzie mogła wydać życia, choćby najmniej nawet rozwiniętego. Św. Tomasz bardzo pojedyńczo a dosadnie rozumuje: „materya martwa nie ma życia, więc i dać go nie może, gdyż niż nie daje, czego nie ma[10])".

Tak samo uczą dzisiejsi przyrodnicy, że nawet Virchów jest zmuszony wyznać, iż „nauka o powstaniu życia z materyi martwej bez ojca i matki upadła. Każda roślina pochodzi z nasienia, każde zwierzę z jaja, każda komórka z poprzedniej komórki. Życie stanowi długi szereg nieprzerwanego rodzenia, gdzie dziecko staje się matką, skutek przyczyną, i przez to ciągle się odmładza i przy sile utrzymuje. Nietylko roślina wydaje rośliny swego gatunku, ale nadto żadnego innego. Także i zwierzę rozmnaża się tylko w swym gatunku. Plan organizacyi w swoim tylko gatunku jest niezmienny, gatunki się nie przekształcają[11])".

A Rudolf Wagner[12]) pisze: „Ani obecnie żyjące ani dawniejsze gatunki roślin i zwierząt nie powstają, ani nigdy nie powstawały z materyi nieorganicznej". „Ani od roślinności w pokładach ziemi — mówi Göppert[13]) — żadnej podpory nie może się spodziewać, powstanie życia z materyi nieorganicznej jak Reis[14]) niezbicie udowodnił. Przeto „minęły przecież te czasy — pisze ironicznie Quenstedt[15]) — gdzie każde łajno aż się roiło od życia organicznego, a wszechmoc materyi martwej nie mogła się nasycić w stwarzaniu." Dziś „uważamy powstawanie życia z materyi nieorganicznej za stanowczo i ostatecznie potępione[16])". Słusznie więc mówi Hoffmann: „trudno znaleźć inną hipotezę na wytłumaczenie świata, któraby takie mnóstwo sprzeczności nagromadziła, jak materyalizm. Z tego co niezmienne ma powstać zmiana, z absolutnego spoczynku ruch, z rzeczy martwej życie, z niemającej czucia uczucie, ze ślepych przyczyn celowość, z nierozumnej rozum, z materyi duch[17])".

9. Jak zaś siła materyi nie mogła ze samejże materyi powstać, tak też nie mogła sama z siebie w materyi istnieć. Jest bowiem ta siła tak ograniczoną do samej tylko materyi nieorganicznej, jest tak niedoskonałą, że najniższego nawet stopnia życia, tembardziej czucia, rozumu wydać nie może, jak widzieliśmy, iż sama z siebie istnieć nie może, bo na to potrzeba istoty w każdym kierunku nieskończenie doskonałej, jak się już poprzednio wykazało (VI. 5). Istnienie więc siły tak samo jak i istnienie materyi, koniecznie Boga Stwórcy wymaga.

10. Pominąwszy nareszcie wiele innych niedorzeczności materyalizmu, z któremi rozprawimy się jeszcze później, zwrócimy tu tylko pokrótce uwagę na ostatnią, wyżej (2) przytoczoną, zasadę materyalistów, że ponieważ człowiek wszystko z konieczności działa, więc ani wolnej woli, ani żadnej odpowiedzialności mieć nie może, ani na żadną nagrodę lub karę nie może zasługiwać, tak iż Büchner rozdział swój: o wolnej woli, kończy słowami Forstera: „zatem najlepiejbyśmy zrobili, gdybyśmy nikogo nie sądzili i nie karali", jak nie możemy karać lokomotywy, że człowieka śpiącego na torze przejechała.

Ztąd powstały takie dzieła jak: „Historya naturalna duszy", „Człowiek-roślina", „Człowiek-maszyna" i t. p., gdyż jeżeli człowiek wedle tej teoryi, jest materyalnym tylko ustrojem, czynności swe wykonuje z tąższamą koniecznością, co ruchy w maszynie lub organizmie roślinnym, zależnie jedynie od wewnętrznego temperamentu, klimatu, rasy, wychowania, wrażeń, namiętności, potrzeb itd.

Nie myślimy przeczyć, że wszystkie te okoliczności bardzo wpływają na człowieka, i nieraz wolę jego za sobą pociągają. Nie możemy się jednak na to zgodzić, jakoby człowiek wcale wolnej woli nie miał, a działał z konieczności tylko jak maszyna. Niejeden w ostatnią pogrążony nędzę, tak zapanuje nad sobą, że nie wyciągnie ręki ani po jałmużnę, ani do cudzej własności. Męczennicy pierwszych i następnych wieków chrześciańska w najnieprzychylniejszych byli postawieni okolicznościach, bo wychowanie otrzymali pogańskie,

[8]) Journ. des Sav. 1863. p. 623.
[9]) Ueber die Graenzen des Naturerkennens 1873 s. 15.
[10]) Sum. Theol. I. q. 85. a. 1.
[11]) K. Schmid Antropologie 1865 s. 174.
[12]) Der Kampf u. die Seele 209.
[13]) Leonhard u. Geinitz neues Lehrb. für Miner. Geol.
[14]) Lotos s. 110.
[15]) Sonst. u. Jest s. 233.
[16]) Revue d. deux Mond 1861 p. 157.
[17]) Jak wyże. str. 22.

później się nawrócili, z wrażeń mieli całe lata czasu spędzone po więzieniach ochłonąć, za odstępstwo ofiarowano im życie, dostojeństwa i bogactwa, a mimo tego woli raczej krew swą przelać, jak Chrystusa się wyrzec. Nie jestże to najwyraźniejszy tryumf wolnej woli także?!

Prócz tego każdemu z nas przeświadczenie wewnętrzne najwymowniej dowodzi, że za nim działamy, możemy dobrowolniej do takiej lub innej czynności się skłonić; kiedy działamy, że dobrowolnie działamy i możemy każdej chwili czynność naszą przerwać; a po wykonaniu czynności złej karze nas sumienie, jak po dobrej zadowoleniem płaci, przez co znów wolność naszą zatwierdza. Przeciwne zresztą zdanie potępia zdrowy rozsądek całego rodzaju ludzkiego.

Ale gdyby ta zasada materyalistów kiedykolwiek do praktyki zastosowaną została, niemożliwem stałoby się życie człowieka, jak i istnienie całego społeczeństwa ludzkiego. W tym bowiem wypadku aniby żadne prawo istnieć nie mogło, bo jakże je ustanawiać dla maszyn z konieczności działających? Ani żadnej władzy czy duchownej, czy świeckiej zaprowadzićby nie można, ani żadnego rządu, żadnego przełożeństwa, żadnej kary nie możnaby wymierzać za zbrodnie, wszelki porządek w społeczeństwie stałby się nie możliwy. Nikt swojej własności nie byłby pewnym czy w domu, czy na ulicy, czy w polu; nikt nie byłby bezpiecznym swego życia, ani we dnie, ani w nocy, ludzie do gorszego stanu byliby doprowadzeni niż zwierzęta.

Słusznie przeto mówi M. Morawski[18]), że: „gdyby nie było innego dowodu przeciw materyalistom, to jednoby wystarczyło na potępienie tej nauki. Ale tych dowodów jest wiele, jak widzieliśmy, a każdy z nich obala cały system materyalistów“.

Sobor zaś Watykański I. określa: *„Gdyby ktoś jednego prawdziwego Boga widzialnych i niewidzialnych rzeczy Stwórcę i Pana zaprzeczył, niech będzie wyklęty. Gdyby kto nie wstydził się twierdzić, że oprócz materyi nic nie istnieje, niech będzie wyklęty“*.

Jak więc niemożliwa jest materya sama z siebie istniejąca wiecznie, tak i wszechświat z takowej materyi powstać absolutnie nie mógł.

Niebieski pokój.

Z niemieckiego przez St. G.

III.

Bal trwa już od dwóch godzin. Lecz któż zdoła opowiedzieć jego wspaniałość! Któż opisze te bogate stroje, świetne mundury, błyszczące ordery! Wszyscy zaproszeni przybyli: jest trwożliwa miss Marta przybrana w szafirowe gazy; stawił się i bankier z Londynu, przy boku jego piękna Julia w bladoróżowej sukience; głębokie, jak fala morska, oczy Julii nie ustępują blaskowi brylantów, które pokrywają jej płowe włosy, szyję i ręce a nawet błyszczą rozsiane na sukni, jak krople rosy na listkach róży.

Marya, w błękitnej przeźroczystej tkance z turkusowemi ozdobami, przypomina niezapominajkę, a bujne jej loki zdają się kaskadą złotej lawy. Lecz wszystkie oczy, oczarowane tylu wdziękami, zatrzymują się na smukłej postaci Dory, przykute dziwną prostotą jej stroju i królewską urodą. Dora odłożyła dziś wszystkie jaskrawe stroje; dziś ma pożegnać swe słodkie marzenia i pogrzebać nadzieje, dziś rozstaje się ze swobodną przeszłością a wkracza w smutną przyszłość. Nie włożyła więc nic na siebie błyszczącego; cała zapowita w białe tiule; perły przypominające łzy, służą jej za całą ozdobę; nie, perły jej tak nie zdobią, jak te ogromne ciemne włosy, tak ogromne, że cała sztuka fryzyerska nie zdołała utrzymać ich na małej główce, zebrano je więc w dwa warkocze, które swobodnie spadają, aż na powłok długiej sukni. Gdy tak strojną Dorę ujrzał Jerzy, zapomniał o balu, o Julii, ruinie rodziny; oczy jego przylgnęły do uroczej panienki i oderwać ich nie może; nie może i nie chce; lecz baczny ojciec, lord Clinton, którego niepokoi dziwny chłód syna dla Julii, zbliża się szybko niego.

„Jerzy — mówi stanowczym głosem, godziny upływają, czas dowiedzieć się co ciebie i nas czeka; oto lady Julia wchodzi z ojcem do cieplarni, nie trudno będzie ci uzyskać chwilkę rozmowy, pamiętaj, że w twojem ręku trzymasz nasze losy“.

Jerzy nic nie odpowiedział, poszedł jak lunatyk ku cieplarni; lecz gdy zbliżył się do ojca i córki żywo rozmawiających, piękna Julia, czy to wzruszona widokiem Jerzego, czy domyślając się stanowczej rozmowy, czy może usłyszała od ojca coś takiego, co burzyło jej marzenia, dość, że spostrzegłszy Jerzego, zachwiała się, wydała lekki okrzyk i padła zemdlona na ręce ojca.

Zrobił się ruch i zamięszanie zwykłe w takich razach. Julia wnet pozyskała przytomność, lecz natychmiast opuściła salę balową, udając się z ojcem do przeznaczonych dla siebie pokoi.

Jerzy odetchnął całą piersią, lecz ojciec jego chmurny, choć silił się na dobry humor, nie mógł go odzyskać; lady Blanka podzielała niepokój męża, to też zmiana usposobienia pana i pani domu zaczęła oddziaływać na gości; szeptano o nagłej słabości Julii, o opuszczeniu przez nią balu, robiono liczne, coraz niedorzeczniejsze przypuszczenia, zabawa psuła się i bal został ukończony w czasie, kiedy powinien był rozpocząć się na dobre.

Dora i Marya opuściwszy razem rozpierzchłe towarzystwo, usunęły się do odległej sali, udzielając sobie wzajemnie uwag nad zaszłym wypadkiem. W salonie, do którego weszły, było już zupełnie pusto, ogień palił się na kominku, służba gasiła światła. Drzwi, przez które weszły wiodły z galeryi, a drugie prowadziły do niebieskiego pokoju, który miał na noc dzisiejszą służyć za sypialnią Dorze. Marya, uścisnąwszy ją w progu pokoju, odeszła spiesznie bo panna służąca wzy-

wała ją pilnie do Marty, obawiającej się zostać w pustej alkowie.

Dora oddaliła pannę służącą, pragnąc pozostać samą ze swemi myślami. A ileż i jakich myśli wiło się w jej pięknej główce! Zrzuciwszy prędko balowe stroje, przywdziała futrem podbity szlafroczek i usiadła w fotelu. Całe dzieciństwo, długi pobyt w tym domu, stanęły jej w myśli; jeden obraz przesuwał się za drugim, ale na każdym widniała twarz Jerzego. Za dni kilka opuści wszystko z czem się zżyła, co ukochała, bo jeśli nie dziś to jutro oświadczy się Jerzy Julii, a ona pojedzie na drugą półkulę, w nieznany świat, do nieznanego ojca... i na raz niezmierna boleść ścisnęła serce sieroty, łzy trysnęły z jej oczu, zsunęła się na kolana, aby szukać w modlitwie pociechy.

Mały obrazek Matki Boskiej wisiał nad łóżkiem; lady Blanka zawiesiła go tam, wiedząc, że Dora nie rozłącza się z nim nigdy. Opuszczona dzieweczka modliła się długo i gorąco, polecając swoją przyszłość Matce Miłosierdzia i wstała zupełnie uspokojona, a radość od dawna nieznana napełniła jej serce.

Teraz też dopiero rozpatrzyła się Dora po pokoju, i wydał jej się bardzo ponurym: po kątach leżały stare sprzęty, nagromadzone tu przez długie lata; na środku ustawiono łóżko, mała gotowalnia przystawiona była do jakiejś starej szafy, na gotowalni paliła się świeca, jedyne światło w całym pokoju.

„Późno już być musi" — szepnęła do siebie Dora i szybko poczęła rozplatać swoje długie warkocze, usiadła na niskim fotelu i myśl jej zwróciła się do Jerzego.

„Gdybym była bogatą, jakże mogłabym być szczęśliwą! — mówiła głośno do siebie, bo nie wątpiła, że ją Jerzy kocha, czemuż to szczęście ludzkie zawisło tak często od marnego kruszcu?"

Wtem podniosła oczy i rękę, aby zdjąć wstążkę zawieszoną na słupku lustra, którą wiązała na noc włosy; lecz zaledwie spojrzała w lustro, okrzyk przestrachu wydobył się z jej piersi; dwoje ponurych, przenikliwych oczu patrzało na nią, jak gdyby z wyrzutem, że pożąda złota. Obejrzała się trwożliwie za siebie i spostrzegła wiszący na ścianie portret, owego nieszczęśliwego chciwca, który w tym tu właśnie pokoju znikł bez śladu. Drzenie przebiegło członki Dory, pociągnęła silnie za wstążkę, ale tym gwałwownym ruchem wywróciła stojącą świecę, która upadając zgasła, a ciemności otoczyły przelęknioną dziewczynę. Gorączkowo zaczęła szukać zapałek, nie wiedziała nawet czy je miała na gotowalni; zwróciła się, szukając, do małego stolika przy łóżku, gdzie spodziewała się znaleźć pożądane zapałki. W ciemności jednak minęła łóżko, nie chcąc już dłużej szukać bezskutecznie, postanowiła pójść do salonu i tam przy pomocy ognia na kominku zapalić świecę, może nawet zapałki tam będą.

Szła więc z wyciągniętemi przed siebie rękoma, a w ciemności świeciły te straszne oczy, które ją tak przestraszyły. Nagle, gdy już sądziła, że drzwi muszą być tuż przed nią, idąc z gorączkowym pospiechem, zawadziła o jakiś przedmiot i całym ciężarem ciała upadła na drzwi, uderzając w nie sobą i wyciągniętemi rękoma. Dora uczuła, że drzwi się otworzyły, lecz ona upadła na ziemię, a drzwi zamknęły się natychmiast za nią. W pierwszej chwili zadziwiła się, że ogień na kominku już wygasł, lecz zarazem uczuła, że powietrze uczyniło się w salonie dziwnie duszące i stęchłe. Niespokojna podniosła się prędko, zwróciła do ściany i poczęła szukać kominka; lecz ledwo postąpiła kilka kroków uderzyła o jakieś pudło czy kufer; idąc dalej znowu, natrafiła na taki sam przedmiot. Zatrzymała się, zimny pot wystąpił na jej czoło.

„Boże! gdzież ja jestem, zawołała przerażona, czy śmię, cóż się ze mną dzieje?

Nagle straszna prawda błysnęła w jej umyśle: upadając poruszyła zapewne ukrytą sprężynę we drzwiach wiodących, ale nie do salonu, lecz do tej kryjówki, o której opowiada legenda. Z krzykiem upadła na ziemię nieszczęsna Dora, lecz wnet pomyślała, że może przecież odszukać tych drzwi i wydobyć się z więzienia. Zaczęła więc obchodzić ściany: wszędzie natrafiała na kufry czy pudła, aż naraz chwyciła inny jakiś przedmiot, który pod jej dotknięciem rozsypał się i upadł z łoskotem, a w ręku jej została sucha piszczel, jak to nie trudno było odgadnąć.

„Czyjeż to kości i co zawierają te skrzynie, zawołała w najwyższym przestrachu, czyż to nie ten chciwy odstępca pogrzebał się tu razem ze swymi skarbami?"

Nogi odmówiły Dorze posłuszeństwa, chciała krzyczeć, lecz głos zamarł jej w piersiach. Czyż ona może się stąd wydobyć, kiedy pan domu znający dobrze wejście wyjść nie mógł! Oto myśl pozbawiająca uwięzioną przytomności. Biedna dziewczyna usiadła na jednej z pak usiłując zebrać myśli, zachować zimną krew, aby postanowić co dalej robić.

„Bóg mi tu zginąć nie da!" — zawołała i poczęła modlić się gorąco; w miarę jak się modliła odwaga wstępowała w jej serce. Rozważywszy spokojnie swoje położenie, postanowiła cierpliwie czekać rana.

„Gdy nie przyjdę na herbatę, myślała, przyjdą po mnie, usłyszę otwierające się drzwi i zawołam; ściany nie mogą być tak grube, aby przez nie głos nie dochodził; doprawdy niepotrzebnie trwożyłam się tak bardzo". Tak rozmyślając oparła się o ścianę; opanowało ją wielkie znużenie, przymknęła piękne oczy i usnęła.

Lecz wkrótce zerwała się ze snu i znowu przestrach ją ogarnął.

„Nuż, myślała z przerażeniem biedna Dora, przespałam godzinę, w której mnie szukano w niebieskim pokoju; nuż się oddalą a ja tu pozostanę, mogą mnie szukać wszędzie, ale czyż będą przypuszczali, że ja tu właśnie jestem uwięziona, toż o tej kryjówce nikt nie wie na pewno; choć będę krzyczała, czy głos mój przebije ściany?" I znowu

znowu zimny pot operlił jej skronie. Chciała się przechadzać, lecz przestrach i znużenie, sił ją pozbawiły. Czas wlókł się leniwie; obawa z nadzieją naprzemian, wstrząsały sercem Dory, modliła się znowu i postanowiła nie zasypiać już więcej.

Kiedy tak walczy ze znużeniem, naraz dochodzi ją głos jakiś, zerwała się, słuchając z natężeniem. Tak, słyszy głos i to głos Jerzego, nawołującego swojego charta, tuż, tuż za ścianą.

„Jerzy! — krzyknęła Dora tak donośnie, że wszystkie cztery ściany zdawały się powtarzać jej okrzyk.

— Doro! odpowiedział Jerzy, gdzież jesteś? zkąd mnie wołasz? twój głos wychodzi z muru czy z pod ziemi!

— Jesten w jakimś lochu, dostałam się tu z niebieskiego pokoju, odparła Dora, na pół z płaczem, na pół ze śmiechem.

— W tej chwili jestem u ciebie!

— O Jerzy nie odchódź, nie zostawiaj mnie tu samej, twój głos przekonuje mnie, że należę jeszcze do żyjących.

— Ależ ja biegnę, aby być bliżej ciebie, za chwilę będę w niebieskim pokoju.“

Nastała cisza; Dora uklękła, dziękując Bogu za ocalenie.

W zamku nie wiedziano jeszcze nic o zniknięciu Dory; Jerzy po bezsennie spędzonej nocy, wstał ze wschodem słońca, pragnąc udac się do lasu, aby zdala od gwaru, odzyskać spokój i nabrać odwagi. Wychodząc, zatrzymał się przy murze zamku, nawołując swojego charta.

Usłyszawszy głos Dory i dowiedziawszy się, gdzie się biedna znajduje, biegł jak szalony do niebieskiego pokoju, trzeba mu jednak przyznać, że nie myślał o skarbach, tylko o ocaleniu przyjaciółki swej siotry. Przebiegając korytarz zawołał na służącego rozkazując mu sprowadzić ludzi, sam zaś nie ruszył się już z niebieskiego pokoju, Dora nie pozwalała.

Wieść o tym nadzwyczajnym wypadku rozeszła się lotem błyskawicy po całym zamku, kto żył spieszył do tajemniczego pokoju. Po długich usiłowaniach, po zdjęciu obić i wyrębania drzewa, otworzono nareszcie drzwi. Dora postąpiła kilka kroków naprzód, zachwiała się i mdlejąc padła na ręce, które do niej wszyscy obecni wyciągnęli ze współczuciem.

IV.

Tego samego dnia wieczorem, w jasno oświetlonym salonie, na niskiej, miękkiej sofie spoczywała Dora. Śliczna jej główka leżała bezwładnie na pąsowej poduszce; twarzyczka bladością przypominała lilię, ale czarne oczy jaśniały niezwykłem blaskiem. Znużenie i przestrach nabawiły Dorę dreszczy i gorączki, lecz po kilku godzinach tkliwych starań, zupełnie ma się dobrze. Tuż przy sofiie siedzi Marya promieniejąca i szczęśliwa, z niekłamaną troskliwością, poprawia Dorze poduszki, podaje jej herbatę, odgarnia włosy z czoła i mówi z uśmiechem:

„Nie uwierzysz kochana siostrzyczko, jakie skarby odkryłaś: kilka kufrów napełnionych tak wspaniałemi srebrami, o jakich nawet pojęcia nie miałam; jedna skrzyneczka pełna złotych pieniędzy; klejnoty rodzinne Clintonów, przepychem swoim przechodzą najśmielsze marzenia; są jeszcze inne rozliczne kosztowne sprzęty, makaty itd. a nawet ogromna skrzynia kosztowności, widocznie z kościołów zrabowanych, są tam kielichy, monstrancye, krzyże, pateny; wszystko z tej skrzyni przeznaczył ojciec do pobliskiego klasztoru. Za czwartą część wydobytych skarbów można kupić całe nasze dobra; lecz ojciec, dziwnie przejęty okropnym zgonem chciwca, pragnie połowę skarbów przeznaczyć na dobre cele.

— Okropnym zgonem chciwca? — zapytała Dora, więc to rzeczywiście jego kości spoczywały przy tych skarbach?

— Tak, to nie ulega wątpliwości. Z tego co odkryto, widoczne jest, że nieszczęsny nasz przodek wszystkie nagromadzone skarby ukrył w tajemnej kryjówce, do której drzwi były tak urządzone, że tylko z niebieskiego pokoju można je było otwierać; wszedłszy do skrytki, drzwi zakładał żelazną podporą, która do dziś tam leży; raz, widocznie drzwi źle założone, zamknęły się za nieszczęsnym na zawsze.

Ponieważ o kryjówce nikt na pewno nie wiedział, nie szukano go tam zdaje się wcale. Dalsza rodzina prawdopodobnie nic o niej nie słyszała, żona zamordowanego brata umarła wcześnie na wygnaniu, a pewno i ona nie wiedziała, gdzie się skrytka znajduje, w której istnienie nikt nie wierzył, uważając ją za utwór fantazyi ludowej. Połowa kości, w kryjówce znalezionych, była rozrzucona, druga połowa ułożona w postawie siedzącej leżała na jednej z kist, na której skonała, wśród złota, nieszczęśliwa ofiara niezwalczonych namiętności. Kości złożone w trumnie pochowano już; wszyscy krzepimy się nadzieją, że biedny nasz przodek nie umarł bez żalu za swe zbrodnie, które odpokutował okropną śmiercią.

‚Jakąż ci wdzięczność winniśmy wszyscy kochana Doro — mówiła Marya, dalej całując swoją przyjaciółkę, gdyby nie twoja odwaga nie bylibyśmy uniknęli ruiny lub poniżenia.“

Dora chciała, widocznie pytać o coś, lecz wachała się, spostrzegłszy to Marya domyśliła się o co chodzl Rozpoczęła więc znowu:

„Pojmujesz zdumienie naszych gości, wszyscy byli świadkami wydobywanie skarbów i podzielali szczerze naszą radość; tylko bankier był czegoś chmurny, a Julia podobno drugi raz zemdlała i zniewoliła ojca do natychmiastowego odjazdu.“

Gdy Marya powiedziała ostatnie słowa, zdawało się, że Dora za przykładem Julii chce zemdleć także, przymkdęła piękne oczy i leżała tak cichutko, że przyjaciółka jej przerażona wykrzyknęła:

„Doro, co tobie, czy czujesz się gorzej?

Nim Dora odpowiedziała, wszedł do salonu lord Clinton z lady Blanką a za nimi Jerzy. Tego

ostatniego trudno było poznać, schylona tak często, w ostatnim czasie, jego głowa podniesiona dziś była do góry, twarz jaśniała najwyższem szczęściem. Zbliżył się do Dory, trzymając w ręku jakiś błyszczący przedmiot.

„Patrz Doro, rzekł, oto jeden z klejnotów przez ciebie odkrytych; tym kosztownym pierścieniem zaręczali się w najdawniejszych czasach wszyscy Clintonowie; pozwolisz go sobie włożyć na palec?“ I nie czekając przyzwolenia Dory, włożył jej na różowy paluszek pierścień z ogromnym brylantem.

„Nie odmawiaj mu Doro, mówił z lekkiem drzeniem w głosie ojciec Jerzego, i pozwól nazywać się naszą córką.“

Gorące rumieńce zakwitły na bladych licach Dory, które płacząc i śmiejąc się, ukryła głowę na piersiach lady Blanki tulącej ją od siebie.

„Zawiadomiłem twego ojca Doro, ozwał się znowu lord Clinton, o zmianie naszego położenia zapraszając go, aby przybył do nas, gdyż ustnie łatwiej nam będzie ułożyć wszystko i naznaczyć dzień ślubu, bo sądzę, że nie zechcesz nas opuścić już w tym tygodniu“.

Ostatnie słowa mówił z uśmiechem, patrząc pilnie w oczy wychowance swej żony. Dora ochłonęła już z pierwszego wrażenia, powstała więc lekko z sofy, a podając rękę Jerzemu, klękła z nim u nóg jego rozrzewnionych rodziców, prosząc ich o błogosławieństwo.

KONIEC.

O szkole wyznaniowej.

Z owoców ich poznacie je.

Po uroczystem oświadczeniu najdostojniejszego Episkopatu austr. złożonem na posiedzeniu komisyi szkolnej w Radzie państwa na dniu 12 marca 1889 jako przedstawicieli reprezentowanych w Radzie państwa królestw i krajów, a więc i Galicyi, w sprawie przywrócenia szkole ludowej charakteru katolickiego (czyli wyznaniowego), nadszedł czas najwyższy, aby w tak zywotnej kwestyi zabrać głos publiczny, obudzić umysły z optymistycznego letargu, oświecić opinię mgłą liberalizmu przyćmioną i popchnąć do czynu dodatniego. Najnowsza prasa wiedeńska wszelkich odcieni od jakiegoś czasu okrzyczała naszych posłów do Rady p. jako uchylających się stanowczo od wszelkiej akcyi za szkołą wyznaniową. Po niedawnym objawie z okazyi kwestyi indemnizacyjnej, trudno ten zarzut odeprzeć.

Ośmielamy się więc przedewszystkiem zapytać: Czy organizacya dzisiejszej szkoły ludowej u nas, na prawdę jest katolicką i tak dobrą, że nie pozostawia nic do życzenia? — Sądzimy, że dzisiejszy ustrój szkoły ludowej w Galicyi jest ten sam, co i w całej Austryi — *wszechwyznaniowy*, a zatem katolicyzmowi *nieprzychylny*.

I.

Ależ, na miły Bóg, *nauczyciele nasi są katolikami!*

Nie przeczymy, lecz wielu między nimi są katolikami z imienia, jak mawiał bürgerminister Giskra, *wir sind auch Katoliken!* Przez przeciąg lat 20 istniejącego ustroju, przez naginanie się do wszystkich wyznań, tak się w nich zatarła różnica między prawdziwą a nieprawdziwą religią, że się niektórzy z nich nie sromają z tem odzywać: iż szkoła nie traci przez to charakteru katol., że obok katechety katol. będzie uczył rabin żydowske, a pastor protestanckie dzieci religii. Cóż dziwnego, jeśli w dzieciach powoli utwierdza się przekonanie: że wszystkie religie są równie dobre; czyli co na jedno wyjdzie: *że nie masz prawdziwej religii.*

I niestety, ci panowie doczekali się wreszcie zrównania katechetów i siebie z kolegami nauczycielami mojżeszowej religi (o czem poniżej).

Nie mamy bynajmniej zamiaru, czynić przeto jakąś ujmę czcigodnemu stanowi nauczycielskiemu, ani też nie wymagamy od niego tego stopnia wiadomości religijnych, jaki posiadają teologowie; ale wracając do założenia „z owoców ich poznacie je“, zapytujemy: jaką to generacyą wychował dzisiejszy system szkół ludowych w Galicyi; nie wyjmując Krakowa? tak pod względem oświecenia umysłu, jak co do zasad religijno-moralnych? Mieliśmy tego w lutym b. r., najświeższe dowody w wybrykach doroślejszej młodzieży, na bruku krakowskim popełnianych, w enuncyacyach w „Przeglądzie akademickim“ Z. I. i II. objawionych, z których przebija brak ideałów przez przodków nam przekazanych: ducha katolickiego i patryotycznego, obniżenie poziomu wychowania katol., brak karności i posłuszeństwa itd. To owoc ześwietczenia szkoły ludowej, odzwyczajenia dzieci od lat 15 od spólnego uczęszczania w niedziele i święta od $^1/_{11}$—$^1/_4$ na Mszą św. do kościoła, jak się to niestety praktykuje w Krakowie; zredukowania liczby godzin, nauki religii do minimum, do tylu zaledwie, co przeznaczono na gimnastykę; zredukowano liczby dorocznych spowiedzi i komunii z *pięciu* do *trzech*; przymuszenia uczniów szkoły przemysłowej uzupełniającej do opuszczania sumy i kazania, a uczęszczania od 10—12 w Niedzielę na naukę rysunków; przez co młodzież *dziczeje*.

Nauczyciele mianowicie w większych miastach, nie obowiązani do zastępowania katechetów, wcale nie postępują w przedmiotach religijnych, oni nawet nie rozumieją różnicy między szkołą wyznaniową, a bezwyznaniową. Im bardzo wygodnie w dzisiejszym ustroju: Płacę biorą piękną, uczą — jak im się podoba. Inspektor obciążony bardzo wielką liczbą szkół, rzadko kiedy może zwiedzać szkołę. Miejscowych inspektorów albo wcale nie ma, albo nic nie rozumieją, albo wreszcie illuzoryj na ich atrybucya; ponieważ pod względem pedagogiczno-dydaktycznym nie śmie czynić nauczycielowi uwag, tylko ma się odnieść do Rady szkolnej okręgowej. Bywały wypadki, jak n. p. około 1874 w Łowcach; gdzie nauczyciel uczył: iż człowiek nie ma duszy. Zjeżdżały komisye i dopiero po kilku latach został przeniesiony. Publiczność, rodzice nie mają sposobności przekonania się, czego



P. JEZUS ZMARTWYCHWSTAŁY UKAZUJE SIĘ SWEJ MATCE.

nauczyciel uczy; a zwłaszcza w miastach, gdzie popisy publiczne zniesiono. I tak się sprawdza: *non vitae — sed scholae discimus.* Chłopi narzekają po wsiach, że po czterech latach, dzieci dobrze czytać nie umieją. Nauczyciel będąc kierownikiem szkoły na wsi, uważa się za równego, jeśli nie za wyższego od plebana, który zwykle jest katechetą, więc kierownikowi podporządkowanym co do zarządu szkołą.

A te zjazdy Towarzystw pedagogicznych! Pożal się Boże! Przed dwoma laty, był taki zjazd w Krakowie. Co uchwalił za 2 i pół godziny: Zawiązać stowarzyszenie, któreby dawało wkładki, a z tych z czasem wyrośnie druga emerytura. Więc nauczyciele — to szkoła; a ich żołądek, to dobro szkoły.

O pedagogice — nie było mowy. — Szkoła u nich sama sobie celem — a nauczyciel — największy dobroczyńca na ziemi. Choroba wieku — to brak kształcenia woli — charakteru! zaprzania się. Zapytaj nauczyciela: jakie czynniki składają się na czyn ludzki? Jaka różnica między popędami a skłonnościami? — Założę się, czy na 50 jeden odpowie. Ambicya, utylitaryzm, to najwyższe motywa dzisiejszych naszych pedagogów szk., a nie Bojaźń Boża! Nic dziwnego, że młodzież wzrasta bezkarnie, dziczeje, albo staje się grubo-materyalistyczną. Boć to najpierwsza zasada Seredyńskiego (o Reformie szkół II. 149) *Wychowanie będzie ludzkie, jeśli opierać się będzie na zasadach relig. moralnych* (*sic*). Ale wraz z Helfertem nie określił p. Reformator szkoły: czy to mają być zasady religii naturalnej, czy etyki żydowskiej, czy protestanckiej; snać bał się powiedzieć: chrześcijańsko-katolickiej, bo zamierzył utworzyć szkołę *wszechwyznaniową.*

„Z owoców ich poznacie je“.

Atoli chcemy być sprawiedliwymi. Nie na stan nauczycielski składamy całą winę złego, lecz na ustrój szkoły. W tym ustroju rozróżniamy dwie różne rzeczy wadliwe, które naprawić koniecznie potrzeba, jeśli generacyą chcemy ratować,

a) Szkoła nie daje ludowi tego wykształcenia umysłu, jakiego rolnik na całe życie potrzebuje. W kierunku praktycznym nie przyczynia się do podniesienia rolnictwa itd. Naprawa tej wady należy do Sejmu. Sejm już więcej niż od lat 8 wysadził ankietę, złożoną z najznakomitszych, ale nie fachowych ludzi. Nie zrobiono dotąd nic.

b) Pod względem religijno-moralnego wychowania ustrój szkoły należy do Rady państwa. To wychowanie znacznie upadło. Trzeba powrócić szkole charakter katolicki: przywrócić Kościołowi dozór nad szkołą.

II. O książkach szkolnych.

Nasi nauczyciele są tak mocno przekonani, że obecna szkoła ich ma charakter katolicki, że na dowód tego odwołują się na książki do czytania w szkole używane, twierdząc że one nic nie zawierają w sobie przeciwnego nauce Kościoła. Na to pozwolę sobie zrobić uwagę: że szkoła używająca książek mieszczących sobie bluźnierstwa lub wyszydzanie rzeczy świętych niegodną byłaby nazwy szkoły ludowej, lecz instytucyi demoralizującej. Zaiste; do tego jeszcze nie przyszło. Ale jeślibyśmy chcieli szukać w książkach ze stanowiska dodatniego, katolickiego znamienia, to go nie znajdziemy, albo w tak małej dozie, że to zbyt homeopatycznie aby szkołę nazwać katolicką.

Weźmy pod trutynę wszystkie cztery książki do czytania w szkole przepisane, a przekonamy się dosadnio o tem. Nie ma w żadnej książce wzmianki o tym zasadniczym chrześciańskim dogmacie: że Jezus Chr. jest Synem Bożym, że jest Bogiem. Z Żywotów Świętych zaledwie znajdujemy w II. o św. Wojciechu. Z życia i praktyk relig. katol. prawie nic. O Kościele kat. o Papieżu, o Komunii św., o postach; nigdzie. Elementarz ma co prawda, na samym końcu: Ojcze nasz, ale iście katol. modlitwy: Zdrowaś Marya, lub pieśni do M. B. ani śladu. I nic dziwnego; dla kilku żydków lub protestantów w klasie, galanterya liberałów polskich, usunęła to wszystko z książek, coby ich uczucia religijne razić mogło.

Wejdźmy w szczegóły; zacznijmy od najgrubszej III. książki do czytania z r. 1888 o stronnicach 342. Wszystkie modlitwy są tego rodzaju, że z nich zarówno bezpiecznie modlić się może turek, żyd, protestant, bramin itp. W jednem tylko miejscu str. 253 w opisie Palestyny, znajduje się wzmianka: „że Jezus Chrystus tam przebywał i nauczał;“ ale kim On był, tego nikt nie potrzebuje wiedzieć?! str. 205. Sobieski pod Wiedniem. Znaną jest rzeczą, że król ten przez wyprawę do Wiednia obchodził procesyonalnie wszystkie prawie kościoły w Krakowie prosząc Boskiej pomocy, że przed bitwą służył do Mszy św. na Kahlenbergu, odprawianej przez zakonnika Marco d' Aveniano, i Komunię św. przyjmował. Te i podobne szczegóły, świadczące o pobożności Jana III. są całkiem pominięte.

II ga książka, ma przynajmniej w opisie Domu Bożego str. 7., że kapłan odprawia przy ołtarzu Mszę św. Dalej mieści żywot św. Wojciecha i św. Kingi. Ma i kolendę; i wzmiankę o Świętach uroczystych, o Bożem Narodzeniu i Zmartw. P. Jezusa. Czemu zaś wilia nazwaną jest dniem uroczystym, skoro nim nie jest? Byłoby do życzenia, aby coś więcej było powiedziane o tym wiekopomnym wypadku, jakim było Narodzenie Syna Bożego, a za to mniej o rybach, jodełce, gdyż te nie są głównym przedmiotem dnia.

Na str. 218, uderzyło nas przekształcenie starodawnych wierszyków umieszczanych w polskich groszówkach: Różczką Duch św. dziateczki bić radzi itd. na: Nauką Duch św. rozum oświecać każe. I tak następnie wszędzie różczka zamieniona na naukę. Rzecz o różdze opiera się na ks. Przyp. 23, 13 — 14. Ale to drugie nie jest oparte na tekstach Pisma św., przynajmniej nam nieznane są teksty.

Na str. 223. podany jest sposób, jak dziecko

spotkawszy na drodze katolika ma go przywitać pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystusm;“ spotkawszy żyda ma powiedziedzieć: „Niech będzie pochwalony P. Bóg“.

Zostawić to już ludowi, a nie uczyć go naginania przekonań relig. i zwyczajów do wszechwyznaniowych zachcianek. Każde wiejskie dziecko już będzie wiedziało, jak ma żyda pozdrowić.

W I. książce do czytania dwie tylko rzeczy są do zanotowania. Str. 138. Widok z wieży kościelnej; ojciec z synkiem przychodzą do kościoła, i zamiast pomodlić się i oddać cześć utajonemu Bogu, opisuje synek, jaki jest widok z wieży na wschód, zachód itd.

Str. 131. Anioł. Na dwóch stronicach opisano jak Aniołek niesie duszyczkę zmarłej dziewczynki do nieba, a przyniósłszy oddaje w ręce Boga, a w tej chwili z jej ramion wystrzeliwają skrzydełka i duszyczka zamienia się w aniołka skrzydlatego. To fantazya. Kościół nie uczy, żeby natura ludzka mogła się zamienić w anielską.

Nareszcie elementarz str. 58 opisując kościół, ma, że przy ołtarzu odprawia ksiądz nabożeństwo. To już nie po katolicku wyrażone.

Dwie ostatnie kartki mieszczą nieco z katechizmu — tu wyrazy: wszechmądry, wszechobecny, należałoby zastąpić innymi. Dodać sposób żegnania się krzyżem św. i Pozdrowienie Anielskie.

III. O odłączeniu dzieci katolickich od żydowskich.

Jest rzeczą dowiedzioną, że wspólne uczęszczanie dzieci katol. z żydowskiemi do jednych i tychsamych szkół publicznych, żydów nie przerobi na Polaków, ponieważ żydzi nie mają narodowości, tylko kastowość, ale z pewnością zdemoralizuje ono dzieci katolickie.

Licznych na to możemy dostarczyć dowodów; mianowicie w szkole wydziałowej żeńskiej Ś. Scholastyki. Zdarza się, że w jednej klasie i to licznej, prawie połowa uczęszcza żydówek, a połowa katoliczek. Panienki mają 14 do 15 lat — podlotki, w którym to wieku żydóweczka niejedna już idzie za mąż; poznajomione są więc z różnicą płciową; zmysłowości ich nic nie kładzie cugli; gdy przeciwnie katoliczki mają w św. spowiedzi i Komunii silne wędzidło na budzącą się zmysłowość. Żydówki czytają niemoralne romanse, przynoszą niekiedy do szkoły i wypożyczają katol. koleżankom. Nadto uczą ich kłamstwa, uporu, wykrętów. Słowem demoralizują naszą młodzież. Dla żydów szkoła musi ustępować z katolickiemi modlitwami, obrazami Chrystusa P., a natomiast żydzi wnoszą zepsucie.

IV. O żydowskich nauczycielach religii, zrównanych z nauczycielami i katechetami katolickimi.

Walny zjazd nauczycieli szkół wyższych, który się odbył w Krakowie 1. i 2. kwietnia b. r., okazał dosadnio *bezpodstawność i szkodliwość* tego zarządzenia.

a) Bezpodstawność. Bo proszę, niechże nam żydzi jasno okażą, czego oni zamierzają uczyć z religii w szkołach publicznych? Niech wskażą książki i podręczniki, z których nauczać będą? Wszakże Talmud jest nietylko wykładem Pisma św. S. Z., ale jest też i tradycyą. Cóż, pytam — pewnego ma w sobie Talmud, na coby się wszyscy Rabini zgadzali? Chyba to jedno, co jest na niekorzyść chrześcian. Gdzież się ukształcili ci rzekomi nauczyciele religii, skoro szkół rabinistowskich jeszcze w Galicyi nie mają? Wszakże kotroli dyrektorów kat. nie znoszą, nie przyznając im do tego kompetencyi!

A pod względem wykształcenia intelektualnego i pedagogicznego, jak mogą się równać z naszymi nauczycielami i katechetami? Do czego prowadzi to zrównanie? Do zatarcia między dziećmi różnicy między prawdziwą religią kat. a talmudoskiemi bałamuctwami.

V. O kształceniu kandydatów nauczycielskich.

Jaki nauczyciel, taka zwykle i szkoła. Nauczyciel to żyjąca książka dla dzieci. On się z nimi modli, on do kościoła je prowadzi, z niemi spiewa pieśni relig. prowadzi i nadzoruje w czasie spowiedzi i Komunii św. On im powinien w tych praktykach rel. przyświecać przykładem. Nauczyciel powinien swe wykształcenie odbierać w zakładzie katolickim. On nie może udawać żyda dla żydów, a katolika dla dzieci katol., ale czem jest, powinien tym się rzetelnie okazywać. — Więc nie tylko do powtarzania z dziećmi nauki relig., ale nawet do udzielania tej nauki, winien odebrać uzdolnienie; a wszystkie przedmioty winien w duchu katolickim wykładać i religijno moralnie dzieci wychowywać. Bo szkoła ludowa nie jest czyst naukową ale wychowawczą instytucyą; — dla kao tolików — katolicką.

VI. Wpływ Kościoła przy ustanawianiu nauczycieli. — VIII. Dozór Kościoła nad nauką i wychowaniem.

Autor tych uwag był sam już w tem położeniu. Wybudował, przybrał przyozdobił trzy szkoły krzyżem, obrazami ŚŚ., zaopatrzył w biblioteki i wypożyczalnie książek. Rada szkoln. okręg. w nagrodę, przysłała mu do jednej szkoły nałogowego pijanicę, wkrótce też i do drugiej podobnego. Nic nie pomogły przedstawienia; aż dopiero gdy zaszły rażące fakta i gorszące, i odniesiono się do kraj. Rady szkoln., po dłuższym czasie zaledwie temu zaradzono. Inaczej się rzecz przedstawia, jeżeli Kościołowi przysługuje prawo zapobieżenia złemu w samym zarodku.

Kościół ma nieprzedawnione prawo do szkoły ludowej, bo szkoła to pierworodna córka Kościoła; to najszlachetniejsza latorośl Kościoła. Kościół od początku zakładał szkoły ludowe i dzierżył w nich kierunek i dozór nad niemi. Kto odłącza szkołę od Kościoła, ten odrywa dziecię od piersi matki i skazuje je na moralne skarłowacenie. Dwudziestoletnie doświadczenie niestety najlepszym tego do-

wodem. Obok tendencyj szkoły wyznaniowej — dzisiejszy przymus szkolny do czego wkrótce przyprowadzi, bliska przyszłość okaże.

VIII Kto się ma o to prawo upomnieć? Czemu dotąd nikt się nie odezwał w tej sprawie?

1. *Czy nauczyciele?* Im w tym ustroju wygodnie. Oni nie przyszli do poczucia potrzeby tego. (O tem było już wyżej).

2. *Czy Duchowni?* Kler poczciwy, czcigodny, zacny. Ale niestety! przez lat 20 odwykł od szkół — natura słowiańska do wygody skłonna. Nie zajmuje się szkolnictwem. W instytututach teol., a nawet w fakultetach, jak np. krakowskim, pastoraliści nie mają pojęcia o dydaktyce czytania, pisania rachunków itd. toż i o pedagogice. Gdy przeciwnie w dyecezyi wiedeńskiej, każdy kleryk musi robić examen na nauczyciela szkoły ludowej. Kto się ma ująć w tej sprawie w Radzie państwa? Zasiada tam trzech duchownych posłów obrz. łać. Najstarszy, najzacniejszy z resztą, uroczyście zapytany przez Koło polskie, jakie jest jego zdanie o teraźniejszym ustroju szkół ludowych, odpowiedział: Ależ to dopiero 20 lat istnienia! Ten system dopiero kiełkuje! — My powiemy: Broń nas Boże, aby wydał dojrzały owoc. Pogrzebani bylibyśmy!

Drugi najmłodszy — ten znów nie zna dawniejszego systemu, kiedy Kościół miał dozór nad szkołą.

Skoro więc żydzi i liberały plują na nas wołając: księża obskuranty, zacofańcy! Nic nie umieli niczego nieuczyli! — nie zdoła stanąć w obronie: że za czasów Metternicha, księża byli tylko wykonawcami rządowego systemu, nie mogli zmienić ani joty w Lesebuchu, ale dzieci coś więcej umiały i w lepszym duchu były chowane, a dozór i nauczycieli nie kosztowały takich sum!! — Trzeci poseł pochodzi z Ks. Poznańskiego, nie zna ani dawnego ani nowego systemu!

Czy obywatelstwo ziemskie? Szlachetna, to zacna zasłużona, inteligentna i patryotyczna klasa ludzi, ale wybaczy mi, jeśli powiem, że zaledwie kilku i to insynktowo coś czuje przez skórę wadliwość i skutki systemu — i to tylko pod względem relig. mor. wychowania; — ale ponieważ się nigdy nie oddawała specyalnie temu zawodowi, więc nie umie jasno sformułować tego, co potrzeba.

Czy nasze mieszczaństwo — czy lud? Ależ to dla nich zupełnie *terra incognita* (rzecz nieznana).

Czasopima powinny oświecać opinię tak kleru jak ludu, wykrywać brak; wykazywać skutki — zachęcać rodziców, aby zbierali i słali adresy do Rady państwa, o szkołę wyznianiową się upominali; wszakże z innych prowincyj austryackich już milion z górą podpisów w tej sprawie poszło, a po oświadczeniu Biskupów, nasi przeciwnicy głowę tracą. Broszury powinny uderzyć na alarm, bo czasopisma, jedne łączą się z przeciwnikami jak „Nowa Reforma", drugie oglądają się na swych prewodyrów-liberałów. A nasi *liberali* dla czego niechcą szkoły wyznaniowej? Któż to pierwszy w austryackiem państwie wyjął szkołę ludową z pod opieki Kościoła? Krakowscy Liberały — D tel i Seredyński, wydali dwutomowe dzieło 1865, 1866. O reformie szkół krajowych. Kraków. W drukarni Uniw. I oni mieliby sami przyłożyć dzisiaj rękę do zburzenia swego dzieła? Tego trudno przypuścić.

Ale baczność Katolicy! Już dzisiaj się chwieją, bo się wstydzą i wypierają, że oni nie są przeciw szkole wyznaniowej tylko chcą szerszej autonomii krajowej w sprawie szkolnictwa!

Nie wierzymy korespondentom wiedeńskim do „Czasu" w tej sprawie. Więcej oni orzeczeniu Biskupów chcą zaszkodzić, niż pomódz. — Nic to nie pomoże. Austrya składa się z milionów katolickiego ludu. Ludy te przyszły dzisiaj do poczucia katolickiego. W Wiedniu nauczyciele katoliccy zawiązali Stowarzyszenie, liczące przeszło 1.500 członków. Zakładają internat dla katol. kandydatów nauczycielskich, a podobny na 200 kandydatów w Voralbergu czy w Styryi. Za rok nowe nastąpią wybory. Katoliccy posłowie w Radzie państwa wzmocnią się. Nie za rok — to za dwa — za trzy w Bogu nadzieja — Kościół katol. odzyska swe prawa do szkoły ludowej w Austryi. Co daj Boże! *X.*

Separatystyczne dążności Rusinów.

Smutnej pamięci stronnictwo świętojurskie marzyło w swoim czasie o politycznym podziale Galicyi na polską i ruską; myśl ta, że tak powiemy zbrodnicza, znalazło echo u ich epigonów moskalofilów, grupujących się koło Towarzystwa im. Kaczkowskiego i menerów Domu Narodnego, którym obecnie do zgodnej walki przeciw rzekomemu uciskowi ze strony nienawistnych Lachów, podają dłoń także ukrainofile t. j. stronnictwo narodowe ruskie. Bo choć dzielą ich zapatrywania i dążności, jeden grunt mają przecież wspólny — a tym jest walka z Polakami.

D. 25 marca br. zebrali się więc przedstawiciele wszystkich stronnictw ruskich w Narodnym Domu na narady, w których oprócz innych boryteli wzięli udział posłowie sejm.: pp. Romańczuk, Rożankowski, Korol sławny wystąpieniami swemi w Sejmie, księża: Sirko i Hamorak, Okuniewski, Huryk i Barabasz. Oprócz zwykłych narzekań na ucisk narodu ruskiego przez Lachów i rząd austryacki uchwalono na tym zjeździe zwołać na Maj b. r. wiec ruski do Lwowa, który między innemi ma zażądać — czy też wyrazić życzenie rozdziału Galicyi na ruską i polską z osobną w obu częściach administracyą. Cel tego życzenia dość jasny.

Jedni chcą wolniejszej ręki w swojej moskiewskiej propagandzie, drudzy szerszego pola do zaspokojenia swoich ambitnych marzeń, a ponieważ niektórym z tych panów ta „ruska Galicya" byłaby jeszcze za szczupłym terenem do rozwoju ich działalności na korzyść ich współplemiennika z północy — tego tak gorliwego opiekuna ich narodowych ideałów, ich języka małoruskiego i unii, wyrazili życzenie przyłączenia do tej nowo utwo-

rzyć się mającej, „ruskiej“ prowincyi części Bukowiny i Rusi zakarpackiej (węgierskiej). Szkoda tylko, że to nie wyłącznie od nich zależy. Zaprawdę nie zły apetyt!

Ugoda czesko niemiecka zainaugurowana przez hr. Taaffego zaostrzyła widać ten apetyt i spodziewają się przy tym czesko-niemieckim ogniu upiec pieczeń własną, którą czuć dziegciem moskiewskim. Zapomnieli jednak ci panowie, że w Czechach nie nastąpił żaden rozdział terytoryalny, ale tylko rozgraniczenie interesów ludności dwóch różnoplemiennych narodów. U nas inaczej! Tu na tej ziemi dwa bratnie ludy od wieków dzielą dolę i niedolę, wiekami razem stały przedmurzem chrześciaństwu przeciw najazdom pogaństwa i kości ich w jednych mogiłach, leżą a krwią wspólnie wylaną podpisali wieczne braterstwo. Tych chcecie rozłączać, to zbrodnia polityczna, tych jątrzyć na siebie, to pchać jednych w objęcia wspólnego, największego wroga, to zdrada popełniona na własnym narodzie.

Uda się wam Panowie na jakiś czas zamącić wodę i może wyłowić z niej jaką złotą rybkę, o którą wam głównie idzie, ale ten lud, który obecnie bałamucicie i przeciw bratniemu narodowi jątrzycie, ten lud przejrzy nareszcie zdrowo i pozna w was fałszywe proroki i zasłużoną was obdarzy nagrodą: pogardą i przekleństwem. Bo lud ten nieoświecony, słysząc ciągle czy to na zgromadzeniach wyborczych, czy w rozmowie prywatnej od swej inteligencyi, czy wreszcie od swego duchowieństwa w świątyni i z ambony, że jest krzywdzony, uwierzy w to na razie, choć się tych krzywd dopatrzeć nie może; wmówicie w niego to wreszcie, że użyjemy tu trywialnego przysłowia „jak w Niemca chorobę“. Ale to będzie tylko efekt chwilowy, bo cała ta wasza robota krecia zwróci się przeciw wam, bo kto wiatr sieje, zbiera burzę.

Dla własnych korzyści, dla zaspokojenia ambicyi własnej, lub wreszcie dla takiej nagrody, jaką już otrzymali Naumowicze, Płoszczańscy *et tutti quanti* -- podejmować tę brudną robotę, to znaczy popełniać zdradę na własnym narodzie i wieść go do zguby, dlatego rzucamy wam przestrogę z Przedświtu Krasińskiego „Hajdamackie rzućcie noże, by nie klęły na was wieki“.

Z dalszemi refleksyami wstrzymujemy się do rezultatu wiecu, a najciekawszym referatem będzie ów projekt podziału Galicyi — nielada zadanie wziął na barki pan referent i ciekawi rzeczywiście jesteśmy, którędy poprowadzi on swoją linię graniczną.

Niemcy i Anglicy w Afryce.

Kolonialna polityka niemiecka w Afryce nie mogła się dotąd poszczycić korzystnymi rezultatami. Wydano wiele pieniędzy, aby utwierdzić niemieckie panowanie w Afryce, a nie mała liczba znakomitych mężów utraciła życie z powodu tych zabiegów. To też pewna część niemieckich stronnictw zapatruje się chłodno na usiłowania kolonialne entuzyastów polityki Bismarcka. W ostatnich czasach jednakże powodzi się Niemcom znacznie lepiej. Powstanie Arabów zażegnane, gdyż ich dowódzca Bana Hari, zawarł przymierze z Wissmanem, a co najważniejsza, że sławny Emin basza wstąpił w służbę rządu niemieckiego. Będzie on pobierał 20 000 marek pensyi, a niezawodnie jeszcze i dodatki. Wiadomo, że rząd niemiecki wynagradza hojnie wyższych urzędników, a specyalnie czuje wielką słabość dla Afryki. Pamiętne są jeszcze obfite uczty, urządzone na cześć Emina, przy których lał się szampan strumieniami, co nieomal było przyczyną jego śmierci, gdyż podpiwszy sobie, spadł z balkonu. Emin w myśl ugody wyruszył 20 kwietnia z orszakiem niemieckich oficerów pod eskortą 200 żołnierzy Sudańczyków, aby w głębi Afryki szerzyć wpływ niemiecki przez zawieranie traktatów z naczelnikami murzynów. W tym celu wykupiono prawie wszystkie towary w Zanzybarze, ktore są stosowne na podarunki dla krajowców. Widać, że inicyatorzy i dowódzcy wyprawy, nie skarżą się na brak pieniędzy.

Podajemy, że Emin basza jest pochodzenia niemieckiego. Zwał się dawniej dr. Edwardem Schnitzerem. Wstąpiwszy w służbę rządu egipskiego, przeszedł na islam i przyjął nazwę Emina. Przez 13 lat zarządzał prowincyą Wadelai, leżącą przy równiku, pozbawiony wszelkiej komunikacyi z Europą. Na jego ocalenie wysłali Anglicy Stanleya, który go wydobył z rąk mahdystów i doprowadził szczęśliwie do obozu Wissmana, dowódzcy wyprawy niemieckiej w Afryce. Anglicy sądzili na pewno, że Emin postawi się na ich usługi, tymczasem ich plany zostały pokrzyżowane.

Wissmann w poczuciu niemieckiej przewagi wydał proklamacyą, na mocy której nie wolno bez jego pozwolenia przechodzić karawanom przez niemieckie terytoryum, położone pomiędzy Tanga, Pengani i Klimanczaro. Rozkaz ten skierowany jest przeciw angielskiemu towarzystwu handlowemu, które zostało pozbawione jedynego traktatu w głąb środkowej Afryki.

Jednakże radość niemiecka nie może być zupełną, gdyż Anglicy patrzą krzywo na postępy Niemców w wschodniej Afryce i odzywają się z goryczą o swych rywalach. Anglicy nie wiele co sobie robią z idealnych dążności, ale nadzwyczaj są drażliwi, gdy chodzi o dobra doczesne, a mianowicie jeżeli ich handel doznaje uszczerbku. Celem Anglików było zagarnięcie Sudanu i dla tego urządzili kosztowną wyprawę Stanleya, aby ocalić Emina. Cel osiągnięty, ale Emin nie Anglii, lecz Niemcom ofiarował swe usługi. Można sobie wystawić, że Anglicy z całego przebiegu tej sprawy są w wysokim stopniu niezadowoleni, gdyż pracowali na rzecz przeciwnika. Wyrazem tego niezadowolenia a raczej zazdrości są artykuły „Times'a“; wkrótce zapewne i inne pisma angielskie uderzą na alarm, a oczywiście, że i niemieckie dziennikarstwo równą bronią walczyć będzie. Na-

stępstwem owej walki na papierze może być osłabienie przyjaźni niemiecko-angielskiej, co może wywrzeć wielki wpływ w przyszłych zawikłaniach europejskich, które prędzej czy później nastąpią.
(*Kuryer Pozn.*)

Przeszłoroczne ofiary z ludzi w Dahomeyu.

Francya prowadzi obecnie wojnę z osławionem królestwem Dahomey w zachodniej Afryce. W kilku krwawych potyczkach pobili Francuzi dzikie wojska krajowe. Życzymy Francyi, której jeden z władców owego kraju odstąpił przed laty kraj nadbrzeżny w Kotonuan, przeprowadzenia planu wcielenia rzeczywistego całego tego kraju do swego państwa.

Życzenie to nasze usprawiedliwia nadzieja, iż wówczas ustaną owe straszne i okrutne ofiary z ludzi. Pewien francuski agent handlowy, który przebywał czas dłuższy w Abome w królestwie Dahomeyu, donosi przerażające wieści o tamtejszych ofiarach z ludzi. W marcu 1889 r. wpadli mieszkańcy Dahomeyu pod dowództwem króla Glele na terytoryum francuskie Porto Novo i uprowadzili z sobą 1745 jeńców, którzy później bez wyjątku padli ofiarą barbarzyńskiego zwyczaju. Straszne te sceny opisuje wspomniany ajent w następujący sposób: 29 lipca znajdowaliśmy się na obszernym placu zapełnionym ludem. Czynią przygotowania do zwykłych ofiar ze zwierząt i jeńców na pamiątkę zmarłego króla Gezo. Jeńcom zakneblowano usta, aby krzyczeć nie mogli. Z wyrazu twarzy i oczu można wnosić, iż nieszczęśliwi cierpią straszliwie... W ostatnich dwóch nocach ścięto około 500 ludzi. Krwią tych ofiar skrapiają grób króla Gezo; trupy straconych rzucają do jam miejskich, gdzie się stają pastwą kruków, sępów i wilków. 1-go, 2-go, 3 go, sierpnia. Ofiary z ludzi trwają dalej. Liczba ofiarowanych przechodzi już 700. — 4 go sierpnia. Prowadzą na plac 15 wziętych do niewoli kobiet, które mają należeć do służby króla Gezo na tamtym świecie; jedna będzie trzymać jego fajkę, druga tytoń, trzecia pantofel t. j. przedmioty, którychby Gezo mógł potrzebować. Nieszczęśliwe są przystrojone jak na uroczystość i niezakneblowane. Zginą w nocy od pchnięcia nożem w piersi. — 5-go sierpnia. Dziś składa król swoje ofiary. Ustawiamy się pod drzewem...

Ofiary są bardzo liczne; widzimy wielką ilość indyków, kur, kaczek zawieszonych za nogi na długich żerdziach bambusowych; nadto 2 wilki, 2 jelenie, 12 wołów itd. potem następuje 15 kobiet i 35 mężczyzn. Usta mają zakneblowane, a ręce przywiązane do nóg, tak iż końce palców kolan dosięgają; w tej pozycyi siedzi każda ofiara w koszu, którą murzyn niesie na głowie. Król nadjeżdża na wozie przystrojonym niebieskiemi wstęgami. J. K. Mość otaczają jego amazonki, strzelając po drodze, podczas gdy tłumy czarnych tańczą, krzycząc przeraźliwie. Pochód zbliża się na plac, gdzie urządzono estrady wysokie na 15 stóp. Za sobą widzę czterech, silnie zbudowanych murzynów, którzy gorliwie ciągną wóz przeznaczony dla zmarłego króla. Są to rzeczywiście 4 nieszczęśliwi woźnice, którzy również mieli być ofiarowani.

U stóp estrady siedzą nieszczęśliwi jeńcy w koszach; zdają się straszliwie cierpieć skutkiem zakneblowania, oczy wystające, straszny przedstawiają widok... Po kilku minutach rozpoczyna się widok. Najpierw zajeżdżają 4 woźnicy z wozem na przeznaczone miejsce. Wiedzą, jaki los ich czeka; oblicze ich zalane łzami. Wszystkich czterech zabija I. K. Mość Glele własnoręcznie. Król wstępuje znowu na estradę. Przy jego boku stoją jego żony, za nim minister sprawiedliwości Mingan i wielu wysokich dostojników, którzy za przykładem króla również własnoręcznie jeńców ścinać będą. Gdy wszystkie zwierzęta przeznaczone na ofiarę, przeniesiono na estradę, podzielono jeńców na dwie części; jednych tymczasowo odprowadzają na stronę, innych ustawiają u stóp estrady. Król zapala swą fajkę i tem daje znak do rozpoczęcia ofiar. Wszystkie noże podnoszą się na raz, i setki głów różnorodnych zwierząt padają na ziemię... Następnie przychodzi kolej na ludzi, którzy również padają ofiarą. Straszny ten widok trwa przeszło godzinę! ...8 go sierpnia. Każdy z synów zmarłego króla Gezo ofiaruje 29 jeńców. Ponieważ nie starczy czasu do stracenia wszystkich, odkładają jesztę do drugiego dnia. — 9-go sierpnia. Wczorajsza rzeź trwa dalej — przyprowadzają nowe ofiary. Po krwawej ceremonii zjawia się król na placu. Naprzeciw królewskiej estrady siedzi na stołku starzec, naczelnik fetyszów J. K. Mości — Król Dahomeyu ma piękny dochód z ofiar. Posługuje się on prawem ułaskawienia za najpiękniejsze woły, które stają się jego własnością. To samo prawo przysługuje mu w obec ludzkich ofiar, ale jego wspaniałomyślność rozciąga się częściej na zwierzęta niż na ludzi. — 11-go sierpnia. Matka króla ofiaruje woły i dwóch jeńców. Podobnie ofiaruje murzyn, który strzegł domu poprzedniego króla Nobie, kilka zwierząt i jednego człowieka. 12-go i 13-go sierpnia. Wszyscy handlarze oliwą, składają swoje ofiary, między temi 23 ludzi. 15 sierpnia otworzono grób króla Gezo, aby tam pogrzebać żywcem część eunuchów, którzy mu niegdyś służyli. Równocześnie wrzucono do grobu głowy 50 rano zamordowanych jeńców; krwią ofiar skrapiają grób króla Gezo. Uroczystości będą trwać jeszcze blisko miesiąc, w czasie którego codziennie składać będą ofiary. Następnie wyruszy król z całym ludem na wojnę, aby pozyskać nowe ofiary potrzebne do podobnych uroczystości w październiku, w czasie których będzie ściętych 700 — 800 jeńców. — Tak pisze ów agent. Słyszeliśmy iż zapowiedziana wyprawa wojenna, przyszła już do skutku. Oby tylko najnowsze wiadomości z Dobomeyu głosiły rozstrzygające zwycięstwo Francuzów, aby wojska chrześciańskie położyły już raz koniec owym strasznym pogańskim ofiarom z ludzi.

Rozmaitości.

Najdawniejsza wystawa. Postawione w Paryżu pytanie. któremu z miast przynależy się chwała urządzenia pierwszej wystawy, zajęło sobą i prasę chilijską Podczas gdy Francuzi twierdzą, iż pierwszeństwo pomysłu do nich należy, już bowiem 1798 roku miała miejsce w Paryżu wystawa, podniósł głos historyk chilijski, dr. Benjamin Vicuna Mackenna, palmę pierwszeństwa, przyznając miastu Santiago, stolicy Chili. Dr. Mackenna wyszukał w królewskiem archiwum w Madrycie dokumenty odnoszące się do otwarcia wystawy w Santiago, z datą 2-go maja 1556 roku. Sekretarz pra-wystawy tej, Diego de Orué, pozostawił dokładny spis wszystkich wystawców i adresów ich, przyczem o wyniku przedsiębiorstwa złożył w Madrycie raport królowi w d. 5 stycznia 1557 roku. który to raport przechowano w archiwach.

Wielkość człowieka i koniec świata. Pewien Francuz z Lille zestawił wielkość ciała człowieczego z różnych wieków i taki wypadł mu rezultat: Wysokość człowicka w r. 1610 miała przeciętnie 1·75 metr., w r. 1790 tylko 1·68 m., w r. 1820 jeszcze mniej bo 1·66 m. obecnie zaś wynosi 1·62 m. z tego odkrycia wysnuwa dalej ów badacz takie wnioski odnoszące się do wysokości człowieka. Według niego człowiek powinien mieć 5 metrów i 10 cntm. wysokości, i tak być miało w początkach świata. Później za czasów Chrystusa Pana, człowiek był wysoki tylko na 2 75 m. a w 4 tysiące lat po Chrystusie P. będzie miał zaledwie 38 cntmtr. wysokości a koniec świata nastąpi wówczas, gdy ludzie tak zmaleją, że zupełnie znikną z widowni. Tak zakonkludował ów Francuz i ma po części słuszność, bo koniec świata będzie i końcem życia ludzkiego, ale żeby koniec świata zależał od mikroskopijnej wielkości człowieka, to w to chyba tylko on sam może uwierzyć, my to między bajki śmiało położyć możemy.

Jak ważnem jest jedno zgięcie kolan przed Najśw. Sakramentem, tak pisze *Gazeta genueńska*, dowodzi fakt, który opowiedział niedawno msgr. Mermillod Arcybiskup genewski. Kiedym był administratorem kościoła katedr. w Genewie, było to moim zwyczajem, mówi ks. Mermillod — że każdego wieczora przed udaniem się na spoczynek, szedłem odwiedzić Najśw. Sakrament a po adoracyi przypatrywałem się, czy lampa się pali i czy drzwi kościoła dobrze są zamknięte, następnie obchodziłem kościół, by się przekonać, czy przypadkowo nie zakradł się jaki złoczyńca. Jednego wieczora, po tej zwykłej czynności, kiedy chciałem oddalić się już z kościoła, usłyszałem nagle jakiś szmer. Oglądam się, by się przekonać coby to było, w tem spostrzegam niewiastę, która w te do mnie odzywa się słowa: Monsigniorze, jam jest protestantką, ale proszę wiedzieć, że słuchając ostatnich wielkopostnych kazań w kościele katolickim, zostałam przekonaną o błędnej mej wierze i porzuciłam takową. Do tego jednak czasu powątpiewałam jeszcze niekiedy o tej prawdzie, jakoby P. Jezus był obecnym w Najśw. Sakramencie. Chciałam się naocznie przekonać, czy katolicy wierzą w to istotnie i czy, gdy ich nikt nie widzi oddają cześć Najśw. Skkramentowi; — po tem naocznem przekonaniu, postanowiłam przejść na wiarę katolicką Oto cel, dla którego ukryłam się dziś w kościele a teraz mogę powiedzieć: *veni, vidi, credo*! i proszę o spowiedź św. — Obecnie owa niewiasta, stała się katoliczką. Co to więc może publiczne wyznawanie wiary!

Brazylia. Prowizoryczny rząd nowej republiki brazylijskiej, zaledwie wszedł brutalnym sposobem w posiadanie władzy, jaż pokazał całemu światu, że ta najmłodsza republika jest dzieckiem masonii. D. 7. stycz., wydał rząd dekret oddzielający Kościół od państwa, zniósł katolickie święta i na ich miejsce zaprowadził „uroczystości narodowe“.

U golarza. Czego ten pies tak patrzy?... — Widzi pan dobrodziej, czasami przy goleniu zdarza się uciąć kawałek ucha... To on zaraz bestya zjada...

Szarada.

Czwarta i druga wyspy nazwisko,
Gdzie piąta, druga ma swe siedlisko;
A druga pierwsza nazwa naczynia;
Choć był i człowiek takiego mienia.
Piąta i trzecia nazwa sędziego,
Ten się strzedz winien z drugim trzeciego,
A całość nazwa tego człowieka,
Przed którym każdy chętnie ucieka.

Arytmograf.

1) 2
2) 10 1 2
3) 11 3 4 13 1
4) 10 8 15 3 2 3 14
5) 8 14 16 9 6 8 16 1 17
6) 2 1 4 3 6 3 7 8 2 9 8
7) 20 9 15 3 7 1 13 10 4
8) 19 8 17 8 14 1 18
9) 18 8 2 1 8
10) 15 9 14
11) 8

1) Spółgłoska
2) Imię biblijne
3) „ wodza izraelskiego
4) „ króla żydowskiego
5) „ „ „
6) Nazwa krainy w Azyi
7) Imię męzkie
8) Nazwa zwierzęcia
9) Przedmiot do ozdoby
10) Ryba
11) Samogłoska.

Środkowe litery utworzą nazwę krainy w Azyi.

Rozwiązanie zagadki z num. 5.: **Pług.**



Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.